Nr. 50. Poznań, dnia 9. Grudnia 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

ODWIEDZINY U THIERSA.

Było to roku 1854. Przy placu St. Georges pokazywano obcym podróżnym hotel elegancki, z przodu z ogrodem otoczonym kratami pozłacanemi, któremu wysokie drzewa nadawały wyraz świeży i powabny.

„Tu mieszka mały Thiers!“ oświadcza lakonicznie cicerone; bo wie, że słowo to wystarcza, by uwagę obcego podróżnego lub mieszkańca prowincyi zwrócić na dom rzeczony.

„Wcale ładny jak na byłego proletaryusza!“ pomyślałem, gdym usłyszał powyższe słowa.

„Czy z łatwością uzyskać można posłuchanie u pana Thiersa?“ zapytałem.

„Jestto niepodobieństwem, jak sobie łatwo Pan wyobrazić możesz, bez rekomeadacyi“, brzmiało objaśnienie mego przewodnika, który jak się późniéj dowiedziałem, wiele w świecie próbował był zawodów, nim doszedł do obecnego.

„Co za przyczyna takiéj nieprzystępności?“ pytałem daléj.

„Gdyby drzwi do sławnego męża zawsze i dla każdego stały otworem, nie miałby i chwili do swéj dyspozycyi. Każdy piszący przynosiłby mu rękopism, prosząc o radę, zdanie i polecenie; każdy czytujący gazety rozpościerałby przed nim swą mądrość polityczną, by pochwałę usłyszeć sławnego polityka, każdy ambitny wymagałby poparcia. Ciekawi entuzyaści i entuzyastki zapełniliby pokoje hotelu, lubownicy autografów wyzyskaliby całą piśmienniczą jego czynność. Jesteś Pan obcym i nie znasz Paryża, gdzie każdy co się nie broni, bywa wyzyskiwanym.“

Po takiem objaśnieniu poszliśmy daléj.

Po niejakim czasie udało mi się uzyskać pismo polecające do byłego ministra, z którem udałem się do znanego mi hotelu. Kurytarz, przedpokój czyli raczéj salon, liczna służba w liberyi, obrazy i posągi małe, schody marmurowe okryte miękkim jak puch dywanem, zapowiadały zamożność książęcą. Służący poszedł oznajmić obecność moją, a powracając oświadczył mi, że pan jego, zajęty w obecnéj chwili nagłemi pracami, prosi mnie do siebie w przebiegu dni najbliższych o siódméj godzinie z rana.“ Sądząc żem go nie zrozumiał, zapytałem: „O siódméj godzinie z rana?“

„O siódméj z rana“, odparł.

A gdym o naznaczonéj przybył godzinie, był p. Thiers, zupełnie ubrany, w czarnym fraku, ulubionym swoim ubiorze, już zajęty w sali swojéj do pracy. Zbytek wykształconego, sztuki miłującego człowieka w sali do pracy, przyjemniejsze robił wrażenie niż bogactwo zwykłe i przepych w innych częściach domu, przez które przechodziłem.

Pan Thiers przyjął mnie z nieudaną uprzejmością i w oka mgnieniu zawiązała się żwawa rozmowa.

Powierzchowność jego jest mało powabna; lecz uderza szczególną postawą. Wysokie, szerokie czoło jest wido-

cznie siedliskiem żywych, nieprzerwanych myśli, goniących się wzajemnie. Po za brwiami gęstemi błyszczy oko, żarzące się ogniem południowym, dowcipem i bystrością przenikliwą; postać jego mała, robi wrażenie komiczne. Cała istota wyraża coś wiecznie niespokojnego. Niktby nie uwierzył, aby z ust tych zakroju ironicznego coś innego wyjść mogło nad drażniące urągania; a każdy się dziwi słysząc człowieka tego mówiącego seryo i w końcu mniema że i to jest żartem.

Pan Thiers mówi wiele, różni się jednak od wielkiéj liczby wielomównych tém, że i przysłuchuje się często. Opowiadał mi o swych podróżach po świecie, o polach bitew pod Jeną, Lipskiem i Wargram. Mówił o Berlinie, o Wiedniu i Peterburgu.

„W Berlinie przyjęto mnie ozięble“, opowiadał mi, „nie wiem, czy powodem tego była znana moja chęć zajęcia lewego brzegu Renu, lub klimat północny, lub nareszcie niemiecka filozofia, którą w mieście nad Sprową oddają się starzy i młodzi, wszystkie stany i płcie obie. W Wiedniu przyjęto mnie daleko gościnniéj. Nad Dunajem zdawano się uwzględniać daleko więcéj kierunek mój krasomówczy niż polityczny. Nawet książę Metternich był nader uprzejmym i traktował mnie jak sławnego artystę. Wiedeń robił na mnie wrażenie fachionoble'a, mającego staranie tylko o uciechy, o rozrywki, o tancerki, aktorki, konie, stół dobry, o podróże, z któréj tyle tylko zachwycił nauki, ile potrzeba do przyjemnego życia. Berlin natomiast zdawał mi się być uczonym, wiele wiedzącym i wiele myślącem, lecz zawsze mrukliwym i złym towarzyszem.“

Przez całą godzinę bawiłem u Thiersa; minęła ona jak minuta a gdym go opuszczał, kręciły się po głowie mojéj tysiące myśli, jakie rozmowa z eksministrem wzbudziła i ożywiła.

Ludwik Adolf Thiers urodził się 16 Kwietnia 1797 r. w Marsylii. Ojciec jego, robotnik w porcie prowadził życie dość naganne; lecz matka jego była godną córką szanowanéj powszechnie famili kupieckiéj, a z téj strony miał p. Thiers znakomitych krewnych, gdyż Andrzéj Chenier, sławny poeta i członek Żyrondy, był jego wujem. Niedostatek wielki, w jaki popadła familia matki, tłomaczy tę nierówność pokrewieństwa.

Gdy Napoleon I zaprowadzał we Francyi studya uniwersyteckie, był Thiers właśnie w wieku, gdzie mógł je rozpocząć. Wstąpił więc do lyceum w Marsylii, dostawszy stypendyum cesarskie, które mu matka wyjednała. Z początku oddawał się zupełnie swawoli, mało się troszcząc o naukę. Ustawicznie kłócił się i sprzeczał z swymi współkolegami a nawet dla nauczycieli swoich nie okazywał potrzebnego uszanowania. Opowiadają, że razu pewnego tak daleko się zapomniał, iż na krzesło swego profesora położył kawał paku, by go jak mówił, zrobić „nieodwołalnym“. Inną razą wyciągnął w czasie lekcyi z swego pultu młodego kota, którego pazury tkwiały w skorupach od orzechów i puścił go pod stół. Strwożone łoskotem niezwykłego obuwia zwierzę skakało, krzycząc żałośnie. Łatwo sobie wyobrazić hałas w szkole ztąd powstały. Sprawca tego figla za karę skazany został na tydzień więzienia. Kary nic nie skutkowały, lecz nagana, w któréj mu zarzucono dobrodziejstwo, o jakiem jako alum lekkomyślnie zapominał, obruszyła i upokorzyła go tak bardzo, że nagle całą jego zmieniła istotę. Upokorzenie to zrobiło go pilnym i uważnym. Dziwny to objaw charakteru w dziecku. Odtąd otrzymywał mały Thiers bezustannie i aż do 1815 r. pierwszą nagrodę w swéj klasie.

Ukończywszy szkołę przygotowawczą, udał się do Aix, by tamże poświęcić się nauce prawa. Wolny od więzów, jakie nań wkładało cesarskie wsparcie, oddawał się na nowo lekkomyślności, lecz w sposób nieco stateczniejszy niż dawniéj. Ruch polityczny, jaki w owym czasie wnikał wszędzie, dzieląc miasta, wsie, towarzystwa całe na stronnictwa, porwał go także w wir swój i mając lat 18 był Thiers mimo swą niepozorną powierzchowność punktem środkowym, naczelnikiem liberalnego pomiędzy współuczniami swymi stronnictwa. Bezwarunkowi zwolennicy Burbonów tak pomiędzy obywatelami jak i pomiędzy uczniami i profesorami znienawidzili młodego rokoszanina, który już wtenczas umiał zapalić słowem, porywać a mianowicie przekonywać. Pracował on wtenczas z taką gorliwością i wytrwałością, jakiejby się nikt nie był spodziewał po jego lekkim ruchliwym duchu; równocześnie ćwiczył się usilnie w myśleniu, w porządkowaniu i wyrażaniu swoich myśli.

Akademia w Aix wyznaczyła w owym czasie nagrod na najlepszą pochwałę sławnego margrabiego de Vauvenargués. P. Thiers choć prawnik zabrał się do tego zadania. Sporządziwszy dwie kopie swéj pracy, przesłał jedną z nich pod zwykłą formą akademii a drugą odczytał najserdeczniejszym swoim przyjaciołom.

Nie było więc już tajemnicą, że mały Thiers ubiega się o nagrodę. Przytém udało się członkom akademii, z których część pewna nie sprzyjała wcale Burbonom, dowiedzieć się o znakach, po których poznać mogli pracę znienawidzonego przeciwnika. Ztąd poszło, że głosy były podzielone i przyznanie nagrody odroczono.

Roku następnego mały rewolucyonista otwarcie przedstawił akademii nową pracę. Sędziowie widzieli się zniewolonymi przyznać jéj pochwałę. Nagrodą zaś uwieńczona została pochwała Vauvenargués'a, która przybyła z Paryża i zyskała uznanie uczonego grona bez różnicy przekonań politycznych. Jakież było zdumienie sędziów, gdy oderwawszy pieczęć z papieru, kryjącego nazwisko autora, przeczytali z drżeniem nazwisko „Adolf Thiers“. Przepełniona gośćmi sala zatrzęsła się na to od głośnego śmiechu. Akademicy zawstydzeni i rozjątrzeni spuścili oczy. Namiętność polityczna mięsza się teraz w sprawę tę a obywatele miasta Aix obnoszą uwieńczonego nagrodą w tryumfie po ulicach miasta.

Dla młodego Thiersa była jedna tylko droga, którą się mógł puścić t. j. droga do Paryża.

Skończywszy naukę prawa, udał się rzeczywiście z przyjacielem swoim i współuczniem Mignet w podróż do stolicy nad Sekwaną, owéj Mekki każdego ambitnego, owego Eldorado wszystkich za szczęściem goniących Francuzów. Pan Thiers musiał się udać do Paryża, bo człowiek ten i to miasto dla siebie byli stworzeni. Oboje niestali, ruchliwi,

niestrudzeni, febryczni, zmieniający bezustannie i skłonności i namiętności, należą do siebie. Młody pielgrzym przyniósł do celu swéj pielgrzymki tylko swe lat 20, dar wymowy, pracę nagrodą uwieńczoną w kuferku, świetne w duszy palace, jakie młodość buduje i stałą wolę wzniesienia się jak najwyżéj.

Świątynie szczęścia w Paryżu mają bramy żelazne, przez które przejść można w dwojaki sposób, albo kluczem złotym otwierającym wszystkie drzwi siłą, lub wchodząc nakształt czarnoksiężnika dziurką od klucza. Ostatni zabrał z sobą z Marsylii mały Thiers.

Dwaj przyjaciele szkolni przeżyli w początkach wiele dni bardzo smutnych; unieściwszy się w ubogiem pomieszkaniu przy Passage Montesquieu, byli tak opuszczeni, jak można być w Paryżu, gdzie o człowieku wszyscy zapominają prócz głodu, który zawsze odwiedza biednego.

Mały Thiers biegał wszędzie, pukał wszędzie, ofiarując swe usługi w redakcyach i ministerstwach. Daremnie! Wziąwszy tedy dwie swe mowy pochwalne, napisał bardzo zręczny list, w którym okazał całą piękność swego stylu i opowiedział zabawną historyę mistyfikacyi rojalistowskiéj akademii, i zaniósł paczkę do izby deputowanych dla wręczenia jéj panu Rochefoucauld-Lioncourt, jednemu z przewódzców liberalnego stronnictwa. Przypadek zrządził, że szukający szczęścia w tym właśnie dniu i o téj godzinie wszedł do przedsionka pałacu Bourbon, kiedy Manuel przez sługi sprawiedliwości porwany z mównicy, wtrącony został do więzienia za to, że się pokusił oświadczyć, iż „z całą odrazą swéj duszy“ patrzał na powrót Burbonów do Francyi. Młody południowiec widział scenę tę a gdy mu powiedziano nazwisko męża, którego tak poniewierano, przybliżył się do deputowanego a porwany gorącą krwią zawołał: „Zemsta! Deputowani są nienaruszalni. Biada tym, co łamią konstytucyę!“

„Milcz Pan“, napominał Manuel w łagodnym tonie nierozważnego młodzieńca, „czyż chcesz być zamkniętym? Jak się nazywasz?“

Thiers oddał pytającemu swoją kartę.

Kilka dni później miał do wyboru pomiędzy miejscem sekretarza u p. Rochefoucauld-Lioncourt a współpracownika przy Constitutionnelu, najwpływowszym dzienniku opozycyjnym. Trafnie osądzając to, co mu ofiarowano, oświadczył się za ostatniem. I w ten sposób wstąpił na pierwszy szczebel swego szczęścia. Odtąd zdatność jego i biegłość były mu skrzydłem a wzleciał tak wysoko, jak sobie człowiek tylko życzyć może, co bez prawa do korony na świat przyszedł. Ze wszystkich dziennikarzy opozycyi on najśmieléj, najdotkliwiéj, najniemiłosierniéj szermierzył piórem. Nikt jak on nie umiał rzucać pocisków tak ostrych, tak jadowitych, że bez gwałtownego draśnięcia przeszywały serce przeciwnika. Wszystkie bez wyjątku znakomitości, czy oddające się piśmiennictwu czy nie, widziały w małym dziennikarzu Dawida, który sprostać mógł każdemu Goliatowi. Pan Talleyrand, który nie był wcale rozrzutnym pod względem pochwał, chcąc z bliska poznać żmiję, która w Constitutionelu tak jadowicie kąsała, kazał sobie przedstawić młodego dziennikarza. Więcéj jeszcze niż artykuły jego podobała się staremu dyplomacie rozmowa z Thiersem; zaprosiwszy go, aby go częściéj odwiedzał, zapoznawał go z tajemnicami dyplomacyi i polityki.

Nie zadługo obudził młody pisarz swą historyą rewolucyi francuskiéj podziw całéj Francyi, a trwogę w Tuileryach. Dzieło to uważane za czyn zjednało mu po rewolucyi lipcowéj miejsce w izbie deputowanych. Więcéj jeszcze odznaczał się Thiers jako mówca, niż jako pisarz. A gdy z mównicy mówił, wywodził, opowiadał, szczególnie gdy uderzał na siedzących na ławie ministeryalnéj, słuchała cała Europa bojaźliwie, by i słówka jakiego nie uronić. Thiers jako mówca jest cudem. Ani organem, ani czémś innem zewnątrz nie poparty, przypisać należy jedynie naturalnemu powabowi myśli i wyrażenia, udatności zwrotów, tysiącom pomysłów, które lekko i swobodnie łączą się z sobą, że każdy czuje się porwanym, choć nie podziela zapatrywań mówcy. Thiers bawi i rozwesela na mównicy, zabija rozweseleniem sąd najsurowszy. I wtenczas dopiero, gdy przestał mówić, może się niechęć zwrócić przeciwko niemu. Od czasu rewolucyi 1848 r. wpływ jego się zmniejszył; cały się oddał pracom historycznym. Nienawiść stronnicza zaczepiała tak surowo nie tylko życie jego polityczne, ale i prywatne, że słusznie mógłby powiedzieć z Maryą Stuart: „Jestem lepszym niż moja opinia.“

Za rządów Napoleona, wybieramy przez swoje stronnictwo na deputowanego, przy każdéj okoliczności, smagał rząd z mównicy w sposób nieubłagany. Mów jego, mimo to, słuchano z pokorą i gdy wszedł na mównicę, uroczysta cisza napełniała salę posiedzeń. Pamiętne są proroctwa Thiersa, które wypowiedział w izbie po wojnie prusko-austryackiéj i które niestety, co do jednego słowa się sprawdziły. Po upadku Napoleona pod Sedanem, stary dyplomata z kijem pielgrzymim obszedł wszystkie dwory Europy, błagając o pomoc dla Francyi, lecz wszystko napróżno. Wrócił z niczem i powołany na naczelnika rządu, kieruje nieszczęśliwym krajem aż dotąd. Wiara dzisiejszéj Francyi w Thiersa jest prawie nieograniczona. On jeden, mówią, w najtrudniejszych okolicznościach potrafił nieupaść i kierować przytomnie statkiem tonącym. Uwielbienie to dla dzisiejszego prezydenta Rzeczypospolitéj doszło do tego stopnia, iż zamyślają krzesło prezesa pozostawić w posiadaniu Thiersa do śmierci. Czy jednak, pomnąc na wpadający w ostateczności charakter Francuzów, pozostanie długo na niem, dziś nikt przewidzieć nie może. A i wiek sam, który już ósmy krzyżyk przebiega, w każdéj chwili o przyszłości wątpić każe.

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Autobiografia kawałka kredy.

Z papierów Starego Nauczyciela.

(Dokończenie.)

Często już czułam jak ziemia podemną drzała; było to skutkiem stąpania ogromnego zwierza, w którym pewnego pięknego dnia poznałam słonia, niezmiernéj wielkości. Był on nierównie większy, niżeli obecnie żyjące. Łamał on całe ogromne drzewa, objadał ich gałązki i tym sposobem wszędzie znalazł stół dla siebie nakryty. Prędko przywykłam do stad tych zwierząt wędrujących z jednego miejsca na drugie. Żyły one sobie spokojnie, niewyrządzając żadnemu innemu stworzeniu krzywdy. Ale biada, kiedy ich cokolwiek rozdrażniło! Wtenczas one wszystko gruchotały pod swemi nogami, a swą trąbą takiego hałasu narobiły, że w wielkiéj odległości wszystko drzało. Były też stada złośliwych nosorożców i tapirów w rzekach. Walki tych zwierząt między sobą były przerażające i niekiedy przerywane rykiem ogromnego lwa, goniącego olbrzymiego jelenia lub piękną antylopę.

Przez ten długi peryod, jednak na wielu odległych miejscowościach ziemi wielkie zaszły zmiany. Tam n. p. gdzie obecnie Francya leży, straszliwe były trzęsienia ziemi, a góry ogniem buchające oblały wielkie przestrzenie ziemi lawą. Tam zaś, gdzie obecnie stoją pyszne stolice, były rozległe jeziora napełnione słodką wodą. Europa i Ameryka w owym czasie były połączone w północnych swych stronach, nie jak obecnie elektrycznym telegrafem, ale ziemią, a gdzie obecnie drut telegrafu leży, i wasze parowce fale prują, był stały ląd, góry i wyspy, strzeżone przez podwodne skały. I tam też, gdzie obecnie się rozciąga Spokojny ocean, była wielka ziemia stała, pokryta zieloną roślinnością i ożywiona różnemi zwierzętami. I ta też ziemia od dawna zapadła, a wyspy pozostałe na spokojnym oceanie — to resztki téj zapadłéj części świata.

Takie to zachodzą zmiany na ziemi w przeciągu niezliczonych wieków. Jak pojedyncze rośliny więdną i ludzie umierają, tak też wymierają całe wody i rodzaje, ustępując miejsce innym. Jest wieczna, nigdy nieustająca zmiana na tym świecie. Jeżeli nasz ród ludzki dosyć długo jeszcze pozostanie na téj ziemi, to i wy się przekonacie, że wszystko jest znikome, że nawet ziemia na pewnem miejscu, w wodzie się zanurza, aby się podnieść z niéj na drugiem. Wszakże i wasze legendy i podania o takich zmianach świadczą i je potwierdzają. Wy te objawy różnie nazywacie, jedni potopem, drudzy inaczéj; lecz zwijcie je jak chcecie, zmiana taka znów nastąpić musi, a jeśli się nie potraficie uratować, zginiecie razem z roślinami, zwierzętami i dumnemi dziełami rąk waszych. To zaś niechybnie nastąpi, choćby jeszcze wiele tysięcy lat miał trwać stan obecny.

Lecz słuchaj daléj. Kiedy tak przez tysiące lat była susza i już wszystko sądziło, że stan ten na wieki pozostanie, mnie się zdawało, że się znowu opuszczamy, wprawdzie tak powolnie jak się wszystko wzniosło, może o kilka stóp przez sto lat, ale opadanie było pewne. W tymże czasie, zimno się powiększało i w końcu stało się nieznośnem. Nosorożcom i słoniom strasznie ono dokuczało, a ich potomkowie powoli pokryli się gęstym włosem. Lecz mróz się stale powiększał. Jednak pamiętaj, że nie mówię ci o tygodniach lub miesiącach mroźnych, ale o wiekach całych. Trawy, krzaki i drzewa wymarzły. Na górach nagromadził się śnieg w ogromnych zaspach i skutkiem ciepła, jakie nawet zimą bywa, powoli topniał, a woda z niego w lód się zmieniła, który się powoli aż do dolin zsunął, kiedy nowy śnieg góry zasypywał. Wszakże ci wiadomo, że to samo jeszcze obecnie się dzieje, mianowicie na Alpach; tylko że teraz znów lato wasze jest dostatecznie ciepłe, tak że lód i śnieg w dolinie prędko topnieją i woda z nich w dzikim pędzie rzuca się w przepaście.

Za moich czasów i w równinach taki mróz panował, że lód nie stopniał, ale zsuwając się co raz to więcej, wszystkie doliny napełnił i równiny zalegał. Przez ten cały peryod ziemia coraz bardziéj się zapadała i wkrótce też potém usłyszałam znów nad sobą pamiętny mi jeszcze szum wód oceanu. Po długim czasie byłam znów kilka set stóp pod wodą, a tylko góry sterczały nad nią jako wyspy. Lód który kiedyś te góry pokrywał, powoli ułamując się, pływał w ogromnych bryłach, podobnych do gór po oceanie, tak jak to dziś jeszcze się dzieje koło Grenlandyi, Szpicbergu i w ogóle w okolicach podbiegunowych.

Kiedy tak znowu pod wodę się dostałam, szukałam też zaraz tych stworzeń, które przed tysiącami lat znałam, widując je w morzu. Ale nadaremnie. Wszystkie wymarły, zaginęły. Ich miejsce zajmowały już takie, jakie obecnie jeszcze żyją w lodowatym oceanie.

Peryod o którym teraz ci opowiadam, przezwali wasi uczeni p e r y o d e m l o d u. W owym bowiem czasie prawie wszystkie kraje Europy i innych jeszcze części świata, o ile nie były pod wodą, były lodem pokryte. Kiedy ten lód przez wiele tysięcy lat zsunął się w doliny i równiny, przeciskając się pomiędzy skały i wąwozy, głębokie ślady nawet na najtwartszych kamieniach pozostawić musiał, które jeszczą obecnie w licznych miejscowościach, mianowici w dziwacznie niekiedy ukształtowanych skałach waszych Karpat i Tartr widzieć możesz. Urwane zaś i na miałki proszek starte kamienie, lód zabrał z sobą do morza, a prądy jego roznosiły te okruchy i powoli je osadzały w cieńkich warstwach.

Tym sposobem utworzyły się owe pokłady piasku, który wam nieraz się przydaje, ale i często zawadza; i pokłady gliny i iłu, z których macie cegłę i inne wyroby; i składy żwiru i marglu, który tyle pożytku przynosi przy użyźnianiu waszych pól i łąk. Lecz niesądź, żebyśmy z wszystkiem co

woda osadzała, wiecznie pozostawały na dnie morskiem. Znów powoli siła niewidzialna podnosiła nas do téj wysokości, że waszą Europę stanowić mogłyśmy. Lecz to nie poszło tak gładko i spokojnie. Silne, okropne były trzęsienia ziemi, które wszystko zmięszały. W jednych miejscowościach wewnętrzny ogień ziemi wyrzucił wysokie góry, w innych utworzyły się głębokie szczeliny, doliny, przepaście, do których woda z gór z szumem spadała. Napełniając je, utworzyły się tam jeziora, jak wasze sławne Morskie oko w Tatrach, z niektórych woda z biegiem czasu i za pomocą mrozu sobie otwory porobiła i porywając z sobą wszystko, co jéj stało w drodze, do morza pędziła. Tak powstały wasza Wisła, Odra i inne potężne rzeki służące wam obecnie w licznych waszych potrzebach. I warstwy ziemi, o których ci już wspomniałam, nie pozostały w tym porządku, w jakim osiadły były na dnie morskiem.

W jedném miejscu wystąpiła kreda, jak w Anglii, Rosyi, w górach Jury; w innych miejscach glina, ił, lub margiel. Był to czas dziwny, pełen wstrząśnień i przewrotów, ale tym wstrząśnieniom i przewrotom, wśród których przyroda wszystko mięszała i gniotła, jak piekarz ciasto, zawdzięczacie swe żyzne łany, u was kujawską, proszowską, wyszogrodzką, podolską, żmudzką i t. d. ziemię, odznaczającą się przed innemi urodzajnością.



Edmund Bojanowski.

Lecz zanim do tego przyszło, jeszcze wiele wody upłynęło. Zapomniałam ci bowiem powiedzieć, że lód nie tylko skały potarł, ale że i wielkie i małe bryły tychże, nieraz nawet olbrzymie głazy ukruszył i na swym grzbiecie unosił. Kiedy jednak tak obciążone lodowate góry do morza się dostawały i pływając po niem powoli się zmniejszały i wreszcie całkiem roztopiły, te masy kamieni, wreszcie na dno morza opadać musiały, gdzie przez długie wieki odpoczywały. Teraz zapewne pojmujesz, dla czego nieraz w największych równinach, z daleka od gór, znajdują się ogromne kamienie na polu i w jego pokładzie urodzajnym; pojmujesz, jakim sposobem olbrzymie nieraz głazy, którymby ręce ludzkie nigdy nie podołały, dostawały się n. p. w środek naszego Poznańskiego, w okolicę Borku*), i pojmujesz téż jakim sposobem takie skały nie z Karpat, ale z gór szwedzkich Kjölen mogły się dostać do waszéj Polski. Te kamienie, zwykle przez waszych uczonych erratami t. j. **przybłędami** zwane, to ogromne litery, którémi natura kartę dziejów waszéj ziemi napisała; one świadczą dobitnie o perjodzie lodu.

Osądź teraz sam, czy wasi uczeni nie mają przyczyny uważać na każdy kamień, na każdą roślinę. Wszakże i one mają swoją historyę, jak ja, i pamiętają różne ustępy dziejów waszéj ziemi. Ale wy jeszcze bardzo wiele uczyć się musicie i szukać i porównywać i badać, zanim wszystko znać będziecie. Może być, że i nigdy nie poznacie wszystkiego. Ziemia bowiem i wszystko co na niéj jest rozwija się ciągle; stare ginie, nowe powstaje, wszystko żyje, działa, męczy się, pracuje; ale wszystko ulega swemu tajemniczemu przeznaczeniu, wszechwładnemu prawu bytu: „stań się i giń“. Temu prawu i wy ulegacie.

Lecz słuchaj daléj. To zanurzanie, o którém ci wspomniałem, było naszą ostatnią kąpielą. Kwiaty i trawy i zioła i drzewa na nowo rość zaczęły, góry i doliny znów się zazieleniły, i przybywały rozmaite zwierzęta. Na końcu przyszedł i człowiek i czém prędzéj ogłosił się **panem** wszystkiego, sądząc nie na żart, że to wszystko wyłącznie dla niego jest stworzoném.

Prawda, że bardzo wiele zrobiliście przez krótki czas swego istnienia na ziemi. Widziałam bardzo wiele pięknych rzeczy, kiedy mnie z gór ułamali: piękne wsie i grody, wieże i baszty, pałace, zamki, koleje żelazne, parowe okręty; ale widziałem i więzienia, z których dolatywał jęk nieraz zbrodniarzy i jęk cierpiących niewinnie za to, co nazywacie miłością ojczyzny. Widziałam téż jak się nieraz nawzajem prześladujecie za zdania i przekonania; jak się ścigacie,

*) Na pola jeżewskie.

kto kogo wprzód pochłonie — istnie jak rekiny na dnie morza, tak u was jeden naród drugi, jeden człowiek drugiego ściga i pożera.

Już ci wykazałam, jak wszystko się zmieniło przez miliony lat i dla tego radzę zmniejszyć nieco waszą dumę, bo i wy tylko jesteście, jak każde inne stworzenie — ogniwem w łańcuchu stworzeń, ulegającém jak inne prawom przyrody. Coście myśleli i czynili będzie zapisanem na wieki w naturze, ale wy?..... znikniecie, jak zniknęły inne utwory!

WYROKI ŚMIERCI WE FRANCYI.

Wszystkim jest wiadomo, jak żywą sympatię budził skazany na śmierć przewódzca komunistów Rossel. Deputacye i prośby zewsząd wołały o łaskę dla skazanego, lecz komisya ułaskawień na głosy te nieczułą była i... wyrok spełniono. Srogość tę komisyi ogólny głos potępił... bo Rossel, jakkolwiek słusznie przez sąd skazany na śmierć, miał jednak prawo dla poprzednich zasług swych i charakteru czystego, żądać łaski i takową otrzymać, témbardziéj, kiedy o nią nieledwie głos całego narodu wołał. Czyż to nie ironia, wołają dzienniki francuzkie, że komisya nosi miano komisyi łaski, jeżeli takie nawet indywidua jak Rossel, jéj nie doznają. Niezadowolnienie to wzrosło do tego stopnia, iż się obawiano, żeby ludność do rozruchów się nie posunęła. Wszystko jednak odbyło się spokojnie.

Wykonanie wyroku na Rossela, który wespół z dwoma komunistami Ferré i Bourgeois był rozstrzelany, dzienniki francuskie w następujący sposób opisują.

Wczoraj o godzinie jedynastéj zrana, w czasie kiedy p. Rameau, mer wersalski przezydował w radzie municypalnéj, urzędnik ministerstwa sprawiedliwości, przyszedł do niego z żądaniem upoważnienia na wykopanie trzech dołów, w miejscu przeznaczoném dla skazanych na śmierć.

Było to pierwsze urzędowe zawiadomienie o postanowieniu okrutnem komisyi ułaskawień.

Postanowiła ona na posiedzeniu sobotniem, że Rossel, Ferré i Bourgeois mają być rozstrzelani.

Bourgeois był sierżantem w 45 pułku piechoty, a rada wojenna za dezercyę skazała go na śmierć.

Dla ostrożności wybrano na egzekucyę dwa miejsca: pola Satori i pole de Raquencourt.

Jeżeliby przypadkiem tłumy ciągnęły ku jednemu, skazani byliby przewiezieni na drugie wyznaczone miejsce.

Bourgeois dowiedział się pierwszy, że godzina śmierci się zbliża, a to z téj przyczyny, że zamknięty był nie w domu karnym, ale w więzieniu Chantiers, z którego dla połączenia się z Ferrym i Rosselem wywieziono go o godzinie 4 z rana.

Chociaż wysłani agenci milczeli, Bourgeois odrazu zrozumiał przyczynę swego przeniesienia i rzekł: „Wiem dobrze o co chodzi, proszę mi dać cygaro.“ Jeden z eskortujących zadosyćuczynił jego żądaniu, a skazany odważnie szedł drogą prowadzącą do domu karnego, gdzie go czasowo w celi parterowéj pomieszczono.

Podczas kiedy się to działo, Rossel spał snem głębokim. Nagle do celi wszedł obrońca jego Albert Joly. On to wziął na siebie ciężki obowiązek uprzedzenia skazanego o zbliżającéj się śmierci. Trzask otwierających się drzwi, nieprzebudził śpiącego. Obrońca po razy dwa zmuszony był powtórzyć jego imię.

„Ach! to Pan?“ rzekł, rozpoznając oddanego sobie sercem obrońcę. „Więc to już dziś...“

„Niestety! tak mój drogi przyjacielu“, odpowiedział pan Joly.

„Ha! trzeba!“ rzekł Rossel podnosząc oczy ku niebu. Następnie spostrzegłszy dyrektora więzienia pana Croussoles, mówił daléj:

„Pozwólcie mi na chwilę skupić ducha i zostawcie mnie samego. Potém będę Wam służył.“

Na uwagę pana Croussoles, że wprzód musi się ubrać i że sam pozostać nie może, Rossel nie odrzekł ani słowa.

W pięć minut potém ubrano go w szary kostium, na który włożył własne paleto.

W téj chwili obrócił głowę i spostrzegłszy pana Joly, który niebył wstanie ukryć swego wzruszenia, rzucił się mu na szyję i całował serdecznie.

„Przebacz, żem Ci powierzył tak trudną sprawę i módl się za mnie.“

Nadeszła godzina modlitwy, bo właśnie w téj chwili zacny pastor p. Passa wszedł do celi. Oba uklęknęli przy łóżku i ostatnią spowiedź rozpoczęli.

Ferré mniéj więcéj o tymże czasie był uprzedzony co Rossel i kiedy straszne słowo śmierci wymieniono, spadł z łóżka; następnie z nieudanym spokojem zapalił cygaro i zaczął się ubierać, co trwało przynajmniéj przez pół godziny.

Wzruszenie jego manifestowało się tylko drganiem policzków i urywaną mową.

Co do Bourgeois, ten zażądał cygara i wina, i sam jeden w celi je popijał.

Tymczasem dniać zaczęło. Szósta godzina wybiła; szwadron dragonów i kirysyerów uformował się przed więzieniem, a brygada policyantów strzegła dróg od przechodniów.

Nagle turkot rozległ się po więzieniu. Były to ambulansowe powozy, które skazanych miały odwieść na miejsce przeznaczenia, gdzie prócz kilku żołnierzy i dziennikarzy nikt nie oczekiwał.

O godzinie $6\frac{1}{2}$ dowódzca szwadronu daje rozkaz, ażeby powóz w którym ma być wieziony Rossel, zbliżył się.

Prawie równocześnie, drzwi się więzienia otwierają i z nich wychodzi Rossel. Szedł on krokiem pewnym, mając z jednéj strony żandarma, który prawą rękę jego na łańcuszku trzymał, z drugiéj pastora Passa.

Skazany ubrany był tak jak wyżéj powiedzieliśmy; na głowie miał kapelusz czarny, miękki, a przy oczach trzymał lornetkę, przez którą zdawało się, szukał kogóś ze znajomych.

Za chwilę drzwiczki powozu zamknęły się za nim i powóz ruszył w drogę.

Następnie ukazał się Bourgeois z kepi pochyloną na ucho i z cygarem w ustach, pomimo że szedł z księdzem Tollet, który go do skupienia ducha wzywał.

Po nim wyszedł Ferré bez księdza, z dwoma tylko żandarmami idącymi po obu stronach. Eskorta otoczywszy trzy powozy ruszyła galopem.

Oddziały wojska, pod przewodnictwem pułkownika Merlin, ruszyły na pola Satory i uformowały się w czworobok.

U stóp góry stało trzy słupy, każdy oddalony o dwadzieścia metrów od siebie a przed niemi trzy oddziały żołnierzy, przeznaczonych do egzekucyi.

O godzinie $7^1/_4$ na komendę pułkownika dobosze uderzają w bębny; śmiertelny pochód zbliża się i w końcu staje na miejscu przeznaczenia. Trzech skazanych wysiada z powozu i krokiem pewnym zbliża się do słupów.

Rossela umieszczono przy słupie na lewo, vis-à-vis oddziału składającego się z dwunastu żołnierzy z jego pułku; Bourgeois pośrodku naprzeciw dawnych téż towarzyszy broni z 45 pułku; a Ferrego na prawo.

W téj chwili woźny przeczytał wyroki śmierci. Po skończeniu czytania Rossel żądał, ażeby mu dozwolono samemu wydać komendę do strzału, lecz władza prośbie odmówiła. Następnie poprosił woźnego o wezwanie kapitana X. jednego z przyjaciół, którego rękę przed śmiercią chciał uścisnąć.

Jeden z wyższych oficerów zbliża się i tłomaczy mu, że przedłużając egzekucyę o kilka minut przedłuża męczarnie dwóch towarzyszy skazanych. Wtenczas to Rossel robi giest malujący zdecydowanie, zdejmuje paleto, rzuca zdala od siebie kapelusz i nachyla głowę do zawiązania oczu.

Kapitan de Crenitz oddala się, podoficer komenderuje, żołnierze schylają broń i jednocześnie strzały rozlegają się w powietrzu.

Rossel, jakby piorunem rażony padł na tył. Inaczéj się stało z Bourgeois i Ferrym, którym musiano jeszcze strzał dodać, bo upadłszy walczyli jeszcze ze śmiercią.

Do tych szczegółów inny dziennik dodaje jeszcze fakta następujące:

Pan Albert Joly, obrońca Rossela, wszedł pierwszy do celi Rossela, który otwierając oczy rzekł: Ach! więc to dziś?... Rozumiem. Czemużeś pan nieuprzedził mię wczoraj, tembardziéj żeś mi to przyrzekł; pragnąłbym bardzo mieć jeszcze noc minioną dla siebie. Po chwili milczenia rzucił się w ramiona swego obrońcy i prosił ażeby mu przebaczył wyrzut przed chwilą zrobiony.

Rossel ubierał się szybko, przyczém zrzucił koszulę więzienną mówiąc: nic nie chcę wziąść z sobą co do mnie nie należy. Następnie włożył własną cienką koszulę. Zaraz po ukończeniu ubrania, posadził p. Joly na łóżku i zaczął z nim rozmawiać. „Uważ pan jednakże“, mówił, „jeżelibyś uprzedził mię wczoraj, moglibyśmy rozmawiać całą noc dzisiejszą.“ Rozmawiali o tysiącznych przedmiotach; Rossel dał obrońcy wiele poleceń do familii.

Po téj rozmowie, pan Joly opuścił na chwilę Rossela, a miejsce obrońcy zastąpił pastor p. Passa; wkrótce jednak zażądał go znowu i w obecności księdza rzekł do wchodzącego: „Nie żałuję życia. Moja przyszłość wojskowa złamała się; żyłbym nieszczęśliwy. Wyrzucają mi zbrodnię 18. Marca; odpokutowywam ją dzisiaj. Jeżeli więc wspominać mię będą, powinni mówić o życiu mojem i o tém com zrobił przed ośmnastym Marca.

Kiedy już chwila odjazdu nadeszła, zbliżyli się żandarmi ażeby skazanym kajdany włożyć: lecz ci opór temu stawiali.

Kapitan żandarmeryi p. Amot, dla przyspieszenia odjazdu wdał się w to i powtórzył skazanym rozkaz. Tylko ręce prawe okuto.

Oto jeszcze jeden wzruszający epizod:

Według zwyczaju powtarzającego się oddawna, mleczarka staje zrana przed domem w którym mieszka rodzina Rossela i stawia mleko na oknie.

„Co słychać w mieście?“ pyta nieszczęśliwy ojciec.

„Ach! panie“, odpowiada mleczarka, która nie wiedziała o nieszczęściu wiszącem nad głową rodziny, „w téj chwili odbywa się egzekucya trzech skazanych na śmierć.“

Stary Rossel biegnie do pastora Passa. Służąca tego ostatniego nie wiedząc nic o ranném wyjściu pana, mówi Rosselowi, że Passa śpi jeszcze.

Stary Rossel odetchnął: jasnem jest, że się mleczarka omyliła. Wraca do domu i uspokaja matkę i dwie młodziutkie córki.

„Nie rozstrzelano go dziś; a więc już go nie rozstrzelają wcale“, zawołała z radością starsza.

W téj samej chwili wchodzi do pokoju pastor Passa i zwracając się do ojca mówi:

„Twój syn już w niebie!“

Na krótko przed opuszczeniem więzienia wersalskiego, Ferré napisał dwa listy, z których jeden do siostry w następujących słowach:

Moja droga siostro!

Chwila mi tylko pozostaje do życia; tobie chcę ją oddać. Proszę cię zabrać i pochować moje ciało — niech moi przyjaciele wiedzą gdzie go odszukać.

Rozumie się że przy tém nie będzie ceremonii religijnéj. Ty i cała rodzina będziecie bardzo nieszczęśliwi. Co do mnie, cierpienia moje kończą się; nie potrzebujecie ubolewać nademną.

List drugi był do ministra wojny. Oto jego treść:

Panie Ministrze!

Za chwilę umrę. Nie ma więc przyczyny trzymania ojca mego w więzieniu, a brata w szpitalu waryatów. Mam nadzieję, że ich wrócisz siostrze mojéj, która jedna tylko otoczyć może, potrzebną im troskliwością.

Gazette des Tribunaux pisze:

Dnia wczorajszego wieść się rozeszła, że z przyczyny egzekucyi Ferrego i Rossela mają być manifestacye w niektórych częściach miasta. Władza widziała się w obowiązku zarządzenia środków ostróżności; lecz wszystko okazało

się zbyteczne. Największy spokój panował na Belleville i Montmartre; zauważano nawet, że wieść o egzekucyi wywarła głównie wrażenie na tych, którzy notowani byli jako najwięcéj egzaltowani.

Na zakończenie podajemy list Rossela do przyjaciół:

„Umieram z nieograniczoną miłością dla wolności. Jeżeliby kiedy ta partya, któréj służyłem stanęła u władzy, niech się brzydzi zemstą i nie naśladuje przeciwników. Zemsta jest plamą szlachetnych idei. To moja spuścizna, którą przekazuję w chwili śmierci przyjaciołom."

Na wieki!

Ziemio matko! czy na wieki
Żegnam ciebie? tak mi smętno!
Łza zaciemnia mi powieki,
Puka, woła serca tętno:
Na wieki, na wieki!

Tak mi tęskno wyglądacie
Lasy w téj wiosennéj szacie!
I wy góry i wy rzeki
Po co, po co mi śpiewacie,
Na wieki, na wieki!

Tam pod lasem domek biały
W lipy ukrył się od spieki!
W progu matka i brat mały,
Ojciec woła osiwiały:
Na wieki, na wieki!

On nie słucha, już pogonił,
Jednę gorzką łzę uronił
Biegnąc z domu w kraj daleki,
Tylko wicher za nim dzwonił,
Na wieki! na wieki!

SŁÓW KILKA O JAPONII
I JÉJ RÓLNICTWIE.

Cóż to? Czy to już i Sobótka zaczyna nas częstować artykułami o rolnictwie? Czyż jéj zabrakło materyału dla czytającéj publiczności do tego stopnia, że zaczyna robić konkurencyę specyalnym czasopismom?

Broń Boże! Sobótka chce uczyć i zarazem bawić swoje kółko czytelników; nic więcéj. Do tego nawet ma posłużyć artykulik o rolnictwie w Japonii. Wszakże to odpowiada zupełnie zadaniu Sobótki pokazać co i jak się dzieje w świecie, co się robi u rozmaitych narodów, na jakim szczeblu rozwoju znajduje się cywilizacya u rozmaitych ludów ziemi; a temu to zadaniu także tylko służy niniejszy artykulik o rolnictwie w kraju, o którym, chociaż w ostatnich czasach wiele było mówiono i pisano, prawie nie więcéj wiemy, jak o księżycu.

A przecież my Polanie, rolnicy z pochodzenia! To też zdaje się, że nawet te stany u nas, które już nieco od rolnictwa odbiegły, instynktowo czują pociąg ku rolnictwu, mianowicie tak wzorowemu jak japońskie, któremu ono w żadnym innym kraju świata nie dorównywa. Licząc na tę żyłkę rolniczą naszéj publiczności, przystępuję do opisu rolnictwa w Japonii, przyrzekając, że nie będę nudził Czytelnika uczonemi wywodami i rozwlekłemi opisami różnych manipulacyi gospodarskich.

Marco Polo, odważny Wenecyanin, żyjący przed czterystu laty, był pierwszym europejczykiem, który poznał wschodni brzeg Azyi. On to w swoim opisie podróży wspomina o państwie wysp „Cigango", oddzielonem przez pełne morze od „Tartaryi Wielkiego Chana", jak nazywa niebieskie państwo, czyli Chiny. Opisując to państwo wysp, przedstawia je jako prawdziwy raj ziemski, podnosi jego kulturę wspierającą naturalną produkcyę, jego niezmierne bogactwo w szlachetnych metalach i piękny klimat. A co Marco Polo w swoim czasie powiedział, to powtarzają nowocześni podróżni z tą tylko różnicą, że imię tego państwa lepiéj wymawiają, że je Japonią, a nie Cigango nazywają. Oprócz tego też trzymają się nowsi pisarze w opisach realnéj prawdy, nie puszczając cugli bujnéj wyobraźni, która zwykle wszystko piękniéj przedstawia, niżeli jest w rzeczywistości.

Popełnilibyśmy wielki błąd, gdybyśmy twierdzili, że obecnie już znacznie więcéj wiemy o azyatyckiéj Anglii, o Japonii, niżeli wiedziano czterysta lat temu, po ogłoszeniu opisu podróży Marco Polo, który ją pierwszy dał poznać zachodnim narodom. Przez ten tak długi peryod, Japonia tylko bardzo krótki czas była otwartą dla europejczyków i po krwawéj katastrofie, w któréj zginęli wszyscy europejczycy, znów dla nich została zamkniętą, aż zaledwie dwadzieścia lat temu uzyskali pozwolenie z bliska, że tak powiem, przyjrzeć się jéj brzegom. Wnikać bowiem do wnętrza tego kraju obcemu i dotąd jeszcze nie wolno; stoją na zawadzie prawne i socyalne przeszkody i dla tego każdy łatwo pojmie, że to co o tym kraju i jego mieszkańcach wiemy, musi być bardzo niedostatecznem. Z tych to przyczyn, nawet gdyśmy chcieli, nie możemy też w niniejszem przedstawić zupełnie dokładnego obrazu rólnictwa w Japonii, mamy tylko pretensye do tego, że ze swojéj strony ile możemy, przyczyniamy się do objaśnienia niektórych pojęć, zaczerpniętych z opisów jednostronnych.

Japonia jest jednym z wulkanicznych łańcuchów, ciągnących się długiem szeregiem wysp od północno zachodnie-

go krańca Azyi przez poważny, spokojny Ocean. Grupę wysp japońskich składają: jedna wielka wyspa i kilkaset pomniejszych, rozciągających się w łuku, którego północny koniec dosięga do 46° północnéj szerokości, czyli mniéj więcéj tak daleko ku północy jak Wiedeń; kiedy południowy kraniec znajduje sią pod 29° północnéj szerokości, pod którym także leży Kairo w Egipcie. Mimo to zima w Japoni i nie jest bez śniegu, który w szerokości, pod jaką leży połódniowa Francya, pada bez przestanku od Listopada do Kwietnia i przez ten czas ziemia jest zmarznięta, a rzeki pokryte są lodem.

Średnia temperatura środkowéj Japonii zimą jest bardzo niska, bo termometr spada do 15° Reaumura. Położenie znów wśród oceanu jest przyczyną wielkiéj wilgoci. W północnéj Japonii panują ogromne burze połączone z grzmotami, deszcz leje prawie każdego dnia strumieniami, a gęsta mgła zalega całe powietrze. W środkowéj i południowéj Japonii nie ma prawie tygodnia bez deszczu, a w Czerwcu i Lipcu pada prawie bez przerwy.

Masa deszczu dochodzi w Japonii do miary, w któréj się ona nietylko mieszkańcom miast, ale nawet mieszkańcom wsi sprzykrza i w zajęciach rolniczych przeszkadza. W ogóle powiedzieć trzeba, że klimat w Japonii jest bardzo zmienny i że zmiany tam bardzo nagle następują.

Japonia jest bardzo uboga w drogi, skutkiem czego komunikacya w kraju jest utrudniona. Główny trakt przerzynający wyspę został dopiero w XVI wieku założony i w ogóle nie ustępuje odpowiednim drogom w Europie. Tylko pod stolicą państwa, Jeddo, jest ona w złym stanie, gdyż tam w czasie deszczów tworzą się ogromne kałuże.

Wszystkie inne drogi sam lud utrzymywać musi i to rozumie się czyni jak najmniejszym kosztem; nie dziw zatém że one są niewygodne i źle utrzymywane. Na rzekach są mosty na palach bambusowych, lub też łyżwowe. Lecz takie mosty istnieją tylko na wielkich rzekach. Na mniejszych są mosty na linach, przymocowanych u brzegów, a te liny służą za belki dla bali.

Takie same mosty prowadzą także przez przepaście między górami. W miejscach zaś mniéj zwiedzanych, odleglejszych, przez przepaście prowadzi tylko jedna lina, po któréj chcący się dostać na drugą stronę, w koszu zawieszonym sam posuwa. Na niegłębokich rzekach jest jeszcze jeden rodzaj komunikacyi urządzony, którego my wcale nie znamy. Ludzie silni utworzyli korporacyą, stowarzyszenie przenosicieli i przenoszą podróżnych stósownie do ceny, jaką zapłacić mogą.

Bogaty każe się przenieść w pysznéj lektyce, jak kareta urządzonéj, w któréj go przez rzekę przenosi kilkunastu ludzi; mniéj zamożny każe się przenosić na odkrytych noszach i czterech lub sześciu ludzi wystarcza mu, by się dobrać do drugiego brzegu. Biedniejszy zaś każe się przenosić na barach jednego człowieka, kiedy zapewne ten, co nic nie ma w kieszeni, sam w bród się puszcza i także, ale o własnych siłach rzekę przebywa. Tak to wszędzie bywa w świecie, że bogaty z większą wygodą podróżuje, niżeli biedny, choć nie daléj zajdzie niż on, bo także tylko — do drugiego brzegu. Dodać tu trzeba, że przenosiciele tacy są odpowiedzialni za wszelkie wypadki i skutkiem tego są pod kontrolą rządu.

Prawo i zwyczaje odwieczne zabraniają Japończykom styczności z obcymi i przykuwają ich do gleby swojéj. Skutkiem tego też nigdy nie byli handlowym narodem, jak wyspiarze Europy. Mimo tego jest w nich przemysł wysoko rozwinięty, jeśli z nim tylko nie porównamy przemysłu europejskiego w ostatnich kilkudziesięciu latach. Wystarcza on na wszystkie ich potrzeby, które pod wielu względami nawet nasze przewyższają.

Religia zabrania Japończykom używania mięsa. Skutkiem tego zakazu hodowla dobytku jest bardzo mało rozwinięta. Konie, woły i krowy tylko do pociągu się chowają, a świnie wyłącznie trzymają nad brzegiem morza, gdzie służą przybywającym okrętom do uzupełniania swoich zapasów. Ze zwierząt wspomnionych Japończykowi nawet skóry nie wolno używać, tak że po ich śmierci żadnego człowiek tam nie ma z nich użytku.

Skutkiem tego braku hodowli inwentarza jest, jak to łatwo Czytelnicy sami się domyślają, brak łąk w Japonii. Na co łąki, kiedy siana nie potrzeba, a gęsta ludność potrzebuje utrzymania. To téż widzimy w tym kraju tylko lasy i pola. W pierwszych są ogromne drzewa bambusowe, dostarczające budulcu i materyału do wodociągów. Budulec ten jest nader ważny dla kraju, w którym dla częstych trzęsień ziemi tylko drewniane budynki stawiać się mogą.

Podług urzędowych wykazów w Japonii jest 1300 kw. mil angielskich lasu. Wywóz drzewa téż stanowi ważną część japońskiego handlu.

Co się tyczy rolnictwa i ogrodnictwa powiedzieć można, że w Japonii nie ma piędzi ziemi nieużywanéj. Tylko Chiny pod tym względem równać się mogą z tym krajem. Do najwyższych, nieprzystępnych gór wdrapał się Japończyk, częstokroć w koszykach zanosił, lub liną wciągnął na nie ziemię, pokrył gołe skały, by na nich siać i produkować żywność. Żaden naród w świecie nie wyłączając nawet Chińczyków, tak nie panuje nad ziemią, tak nie zna co z jakiego jéj kawałka wyciągnąć jak Japończyk. Płodozmienne gospodarstwo tak mało tu jest znaném, jak gospodarstwo z ugorem. Takie gospodarstwo jak w Japonii, byłoby niemożliwém, gdyby gospodarz nieustannie nie zasilał swego gruntu; wciąż on zwraca ziemi co z niéj wyciągnął. Z materyi nawozowych w japońskiém gospodarstwie ani funt się nie zmarnuje. Zwykle używają za nawóz kompostu, zrobionego ze słomy na sieczkę porzniętéj, z plew, odpadków kuchennych i ludzkich odchodów.

Uprawa gruntu w Japonii jest zupełnie ogrodową; wszystko robi się ręką. Każde gospodarstwo, wielkie czy małe, dzieli się na wielką liczbę wązkich, małych grządek, pomiędzy któremi są kanały nawadniające, jak o tém już w inném artykule mówiłem, i temu to nawodnianiu oraz starannéj uprawie i stosownemu nawożeniu, rolnicy tutejsi zawdzięczają swe bogate plony. Japończyk wszelkie ziarno pojedyńczo ręką sadzi, nic rzutem nie sieje i nic też bez świeżego nawozu.

Taki sposób uprawy i postępowania z gruntem wymaga licznych rąk i ogólnego rozdrobnienia gruntu. Sądzićby

zatém należało, że własność w Japonii jest bardzo rozdrobniona. Lecz tak się rzeczy nie mają. Pod względem własności gruntu Japonia jest bardzo podobna do Anglii, bo ziemia należy do bardzo małéj liczby arystokratycznych właścicieli, którzy ją w większych lub mniejszych kawałkach wypuszczają w dzierżawę. Te stosunki własności gruntowéj w Japonii naprowadzają na myśl, że arystokracya tutejsza, jak angielska, nie jest domorosłą, jednego z ludem rasowego pochodzenia, ale najezdniczą, i że ona kiedyś ujarzmiła kraj, podzieliła ziemię między sobą, a w małych kawałkach takową wypuszcza w dzierżawę potomkom podbitego narodu, z którym się ona w ciągu wieków zlała religią, obyczajami i t. d.

Jest to moje przypuszczenie — osnute na podobieństwie, podług zasady, że równe przyczyny równe skutki wywołują.

Wielka posiadłość, jak to u nas widzimy, nie zgadza się z uprawą ręczną, dla tego też w przeludnionéj Japonii, dla powiększenia produkcyi trzeba było podzielić ziemię na bardzo drobne cząstki. Najmniejsze gospodarstwo ma do dwóch morgów naszych, największe tylko pięć. Dzierżawa oddaje się w ziemiopłodach; rzadko tylko pieniędzmi. Biada temu, co dzierżawy nie zapłaci na termin; najsroższe kary prawo za takie przestępstwo naznacza. Jeżeli który dzierżawca raz tylko nie obsieje swego gruntu jak należy, natychmiast go wypędzają z gospodarstwa.

Ziemia japońska jest wulkanicznego pochodzenia, skutkiem czego jest ona nader żyzną. Wiadomo bowiem, że grunt pochodzący ze zwietrzenia wulkanicznych skał jest żyzniejszy od ziemi utworzonéj pod morzem, która znów ze swojéj strony jest płodniejszą niżeli ziemia powstała z napływów rzecznych i słodko-wodnych. Ziemia na wszystkich japońskich wyspach składa się z miałkiéj, brunatnéj gliny, która przy opisanym postępowaniu niezmierne plony wydaje. Lecz nie tylko co do plonu z pojedyńczych siewów Japonia jest bogatą, ale także co do liczby gatunków. Samych użytkowych gatunków roślin liczy się tam do 450, a ozdobnych, ogrodowych 700.

Pomiędzy gospodarskiemi roślinami pierwsze miejsce zajmuje ryż; on też odgrywa ważną rolę w pokarmach Japończyków. Dla tego to uprawę téj rośliny otacza się tu największą troskliwością i największą opieką. Ryż japoński słynie jako najlepszy w całéj Azyi i można go widzieć we wszystkich kolorach, od śnieżnéj białości, do najciemniejszego, czarnego i najpyszniejszego purpurowego koloru. Pszenicę i jęczmień sieją tylko w niezmiernie małym stosunku i głównie służą one na pokarm dla biedniejszéj klasy mieszkańców, tudzież na paszę dla nielicznych w Japonii zwierząt domowych. Kukurydzę uprawiają na jarzynę; rzadko tylko na chleb.

Pomiędzy warzywami najpierwsze miejsce zajmują: melony, ogórki, groch i fasola, szczególniéj zaostrzający apetyt gatunek soja. Rzodkiew i rzepa dochodzą tam olbrzymich rozmiarów; pierwsze nie rzadko ważą 40—50 funtów, a drugie częstokroć mają średnicę do 3 stóp i więcéj. Wszystko to świadczy o wysokim rozwoju ogrodnictwa w Japonii.

Oprócz wyliczonych tu roślin, uprawiają się w Japonii dostarczającéj dla siebie wszystkiego, rośliny handlowe, szczególniéj konopie, tytoń, a od roku 810 po nar. Chr. także i herbata. Plantacye herbaty zawsze są odległe od domów, bo Japończycy twierdzą, że dym szkodzi téj roślinie.

Z owoców tu pielęgnują się wszelkie możliwe gatunki; przedewszystkiem jednak Japończyk lubi: cytryny, pomarańcze, brzoskwinie, porzeczki, migdały, kasztany, włoskie orzechy i gatunek jadalnych żołędzi.

Jedwabnictwo jest bardzo w wysokim stopniu rozwinięte, i tak dla niego jako i dla fabrykacyi papieru bardzo starannie zajmują się uprawą morwy. Z Japonii też do nas dostało się drzewo „ailantus glandulosa“ bożodrzew, hodowane dotąd jeszcze w ogrodach, które jednak dla szybkiego rozwoju swego i wytrwałości na mrozy, zasługuje by je i w lasach u nas uprawiano, szczególniéj też dla tego, że za jego pomocą, mogłoby się i u nas rozwinąć jedwabnictwo, gdyż liśćmi tego drzewa karmi się rodzaj jedwabników Bombyx scynthia.

W lasach japońskich rosną drzewa: pokostowe, kamforowe, morwowe, pandamus, smocze drzewo, sosny, cyprys, cedr i t. p.

Dziczyzny mało jest w Japonii i zapewne też polowanie tam jest zabawą nieznaną; kto mięsa nie je, zwierzyny nie bije, chyba gdy mu ona szkodę wyrządza. Dotąd wiemy tylko, że tam żyje zając, ścigany zapewne jako wróg siewów, mały rodzaj jeleni, antylopa, lis zapewne nie ścigany, bo się żywi mięsem wrogów rolnika, myszy; dzika świnia, jeden gatunek małp, niedźwiedzi i wilka.

Zwierzęta, jak już powiedziałem, nie hodują się tu dla innego użytku, tylko do pociągu. Mianowicie służą do tego: krowa, wół, bawół i koń. Jak nie wolno jeść mięsa, tak i używanie masła i mleka jest zabronionem i żadne zwierzę dla produkcyi téj nie hoduje się. Nawet owca i koza są nie znane w Japonii. Jaja i ryby nie należą do zabronionych pokarmów, to też Japończyk bardzo wiele hoduje drobiu, między którym kury i bażanty pierwsze miejsce zajmują. Dzikiego ptastwa jest wielkie mnóstwo, a hodowli i pielęgnowaniu ryb z wielkim oddają się tu zamiłowaniem.

To jest wszystko, co dotąd z całą pewnością o Japonii wiemy. Pewną atoli jest rzeczą, że Japończycy więcéj wiedzą o nas, niżeli my o nich, bo nierzadko bywa że żeglarze z japońskich gazet odbierają wiadomość o swéj ojczyźnie.

Korneliusz.

Krótki rys życia Edmunda Bojanowskiego.

(Z ryciną.)

Edmund Bojanowski, urodził się we wsi Grabonogu pod Gostyniem dnia 14 Listopada 1814 roku Na chrzcie świętym otrzymał imiona: Edmund, Wojciech, Stanisław, a za rodziców chrzestnych miał szlachetnych: Wojciecha Bojanowskiego i Apolonią z Kęszyckich Bojanowską, dziedziców wsi Czachorowa. Ojciec jego Walenty, herbu Baran, pochodził z rodziny Wielkopolskiéj, któréj jedna gałąź przeszła w wieku XVI do wyznania kalwińskiego i grób swój familijny miała w mieście Bojanowie. Matka jego Teresa, z domu Umińska, była córką Starosty Bilskiego, a siostrą rodzoną wsławionego u nas czynami wojennemi w walce roku 1831, generała Umińskiego. Także brat jéj Maksymilian, pozostawił po sobie pamięć żołnierza, męztwa niepospolitego. Z rodzeństwa bliższego, pozostał mu tylko brat po pierwszym mężu matki: Teofil Wilkoński.

Pierwsze lata dziecinne przepędził Edmund Bojanowski we wsi Płaczkowie pod miastem Dubinem, dokąd się rodzice z Grabonoga przenieśli. Dla bardzo słabego zdrowia, nie mógł być oddany do szkół publicznych i dla tego w domu od nauczycieli prywatnych, był w początkowych i dalszych naukach ćwiczony. Głównym mu w nich przewodnikiem był X. Jan Jakób Siwicki, wikaryusz kościoła w Dubinie, znany u nas z wymowy kaznodziejskiéj i gorącego patryotyzmu. Imię tego kapłana, wspominał nieboszczyk z wdzięczną zawsze pamięcią.

W roku 1836 udał się Edmund Bojanowski na uniwersytet wrocławski, aby jako hospitant brać udział w prelekcyach profesorów; z tych najwięcéj go ujął Purkini, profesor literatury i języków słowiańskich, od którego wziął niezawodnie owo gorące zamiłowanie literatury ojczystéj, któréj znajomością odznaczał się zawsze. Z lat akademickich rówiennicy, mile do dziś wspominają jego skromność obyczajów, wiarę i pobożne życie.

Krótko potém umarła mu matka, a w dwa lata późniéj ojciec. Po śmierci matki, przeniósł się na dalsze wykształcenie do Drezna i do Berlina. W pierwszym mieście poznał rodaków z rozmaitych dzielnic Polski, a mianowicie: Odyńca, Wojcickiego i Chodźko, z którymi pożycie wiele się przyczyniło do rozbudzenia w nim, wrodzonéj skłonności do poezyi, do zamiłowania pieśni i podań ludowych, których zbieraniem pilnem, aż do końca się zajmował. W Berlinie mieszkając, żył w bliskich stósunkach z Dr. Cybulskim, późniejszym następcą na katedrze po prof. Purkinim w Wrocławiu.

Przez całą młodość swą, od lat dziecięcych począwszy, walczył nieboszczyk z chorobą, która mu rychłą śmierć zapowiadała. Choroba tak się wzmogła, gdy mieszkał w Berlinie, że lekarze żadnéj nadziei życia dłuższego nie czynili. Pobyt jednak dwukrotny na kuracyi u wód w Rejnerc i w kąpielach morskich, przywrócił mu sił nieco i życie przedłużył.

Od tego czasu mieszkał przez lat 32 w Grabonogu pod Gostyniem przy bracie swym Teofilu Wilkońskim, dziedzicu Grabonoga, oddając się pracy literackiéj, dobrym uczynkom i pobożnemu życiu. Z jego prac piśmiennych znane jest: tłumaczenie Manfreda, które napisał, będąc na uniwersytecie Wrocławskim; wydawany na rzecz ubogich przez wiele lat rocznik pod tytułem: Pokłosie, czyli Zbieranka literacka, najprzód w księgarni Günthera w Lesznie, późniéj u Merzbacha w Poznaniu; Rok wiejski, który przez kilka lat wydawał pospołu z X. Hilarym Koszutskim, proboszczem z Mielżyna, na korzyść Ochronek Zgromadzenia Służebniczek, pierwsze trzy zeszyty w r. 1860 w drukarni Langiego w Gnieźnie, resztę zeszytów w roku 1862 u Priebatscha w Ostrowie. Nadto ogłosił drukiem u Żupańskiego w Poznaniu r. 1862, Piosnki wiejskie dla Ochronek, i w rozmaitych czasopismach polskich umieszczał artykuły, głównie z podań i poezyi ludu.

W tych latach, przez które Edmund Bojanowski mieszkał w Grabonogu, rozwinęło się znacznie życie publiczne w Gostyniu i okolicy pod wpływem i kierunkiem Gustawa Potworowskiego z Goli. Obywatele z sąsiedztwa zawięzywali między sobą rozmaite stowarzyszenia, a mianowicie tak zwane Kassyno Gostyńskie, z którém, oprócz zabaw towarzyskich, była połączona pomoc do wspierania uczącéj się młodzieży i czytelnia. W przedsięwzięciach tych publicznych brał Edmund Bojanowski żywy i wytrwały udział. Sam także miał w domu swym biblioteczkę, złożoną z książek dla ludu wiejskiego.

Dobre uczynki, które w cichości czynił, zjednały mu w całéj okolicy imię drugiego św. Wincentego a Paulo, dla miłosierdzia nad ubogimi i dla obficie czynionéj jałmużny. Był prezesem Konferencyi Towarzystwa św. Wincentego a Paulo w Gostyniu od założenia jéj w roku 1863 i z wielką miłością oddawał się opiece, około poleconych jéj ubogich. Głównie za jego staraniem sprowadzone zostały do Gostynia w czasie cholery r. 1849 Siostry Miłosierdzia i fundusze na ich utrzymanie złożone.

Na całą okolicę świecił Edmund Bojanowski przykładem żywéj wiary i pobożności. Wszystko w nim: obyczaje, mowa, uczynki, były namaszczone religijnem przekonaniem, a niektóre z cnót jego, jako to miłosierdzie i cierpliwość w znoszeniu przeciwności, dochodziły stopnia heroizmu.

Kiedy po roku 1848 zaczęto się u nas na nowo zajmować ludem wiejskim, aby go oświatą podnieść i rozmaite ku temu w pismach publicznych ogłaszano pomysły, powziął Edmund Bojanowski myśl, zakładania Ochronek po wsiach dla dziatwy wiejskiéj. I około tego téż czasu, nie wiadomo, czy z jego pobudki, czy z własnego natchnienia, pobożna gospodyni ze sąsiedniéj mu wsi Podrzecza, nazwiskiem Franciszka Przewoźna, zebrała w swéj chałupie trzy dziewczynki wiejskie; które każdego dnia zgromadzały około siebie drobną dziatwę ze wsi, zabawiając ją pierwszemi początkami nauki czytania, katechizmu i wesołemi zajęciami. Przypatrywał się temu pobożnemu przedsięwzięciu nieboszczyk z szczerym udziałem, a potém sam je wziął w rękę swoję na prośbę Przewoźnéj, gdy daléj sama sobie poradzić nie mogła.

(Dokończ. nast.)

Szarada.

Pierwsze gdzieś daleko płynie,
Moje drugie wspak, oświeca,
Mężczyznie pannę zaleca,
Jeżeli z całego słynie.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 49: *Nowakoska.*)

Korespondencye Redakcyi.

Pani T. Z. pod Skalmierzycami: Stosownie do życzenia przesyłamy Jéj adres: Berlin, Kronenstrasse Nr. 16. — Pannie Korynnie w Poznaniu: Serdecznie dziękujemy za kilka wierszyków ślicznych. — Panu St. W. w Poznaniu: Zbyt dziecinny sąd pański ażebyśmy nań odpowiadać mieli.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).